Kraków, 25. marca 1900.

Rok V. Nr. 9.

PRAWDA

PISMO LUDOWE

poświęcone sprawom religijnym, narodowym politycznym, gospodarskim i rozrywce.

„Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują."
Psalm 126.

Wychodzi 3 razy na miesiąc
t. j. 5, 15 i 25.

PISMO REDAGUJE KOMITET

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: *X. Teofil Flis.*

Cena prenumeraty z przesyłką:

w Austryi:		Za granicą:	
rocznie . . .	złr. 2.—	rocznie . . .	złr. 2.50
półrocznie .	„ 1.—	półrocznie .	„ 1.30
kwartalnie .	„ —.50	kwartalnie .	„ —.65

Pojedynczy numer kosztuje 5 cnt.

Prenumeratę oraz wszelkie korespondencye nadsyłać należy pod adresem: Redakcya „Prawdy" Kraków, Wawel l. 2. Biuro redakcyi otwarte codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, od godz. 10—11 rano i od 2—4 po południu.

Rękopisów się nie zwraca. — Nie przyjmuje się listów nieopłaconych.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

Prosimy o rozszerzanie naszego pisma. — Popierajcie handel i przemysł chrześcijański!

Asekuracya bydła.

Rolnicy w Niemczech lepiej się mają od nas, bo od długiego szeregu lat wprowadzili u siebie asekuracyą bydła — to znaczy tak samo ubezpieczają na wszelki wypadek swój inwentarz żywy, jak my uczymy się dopiero ubezpieczać inwentarz martwy, zebrane ziemiopłody, narzędzia rolnicze sprzęty i budynki. Co znaczy taka asekuracya, to już dobrze wiemy, jeżeli kiedy nas, albo któregoś ze sąsiadów spotkało nieszczęście od ognia. Kto był asekurowany, otrzymuje z Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń zwrot za spalony budynek, za ziemiopłody i t. p. i może nowy budynek wystawić, kupić zboża i paszy dla bydła. Przeciwnie, kto po staremu spuszczał się na Opatrzność Bożą, a przytem jużto sam był nieostrożny, jużteż miał kogoś, kto nie umiał z ogniem się obchodzić, lub ze zemsty u niego albo u sąsiada ogień podłożył — w jednej chwili staje się nędzarzem tak, iż nie pozostaje mu nic innego, jak tylko odwołać się do miłosiernych ludzi.

O nieszczęście nie trudno i to tak dalece, że każdy rodzaj gospodarstwa wystawiony jest na różne klęski w każdym niemal czasie. Nawet to bydełko, ta pociecha nasza, pomoc, podpora i ratunek nie bywa wolne od klęski. Szerzą się zaraźliwe choroby między bydłem i trzodą, częściej jeszcze zdarzają się inne wypadki jak wzdęcie, pożar, wydanie potomstwa, nieraz bydlę zje szpilkę, którą służąca do paszy upuściła, niekiedy gwóźdź połknie i potem zaczyna chorować, aż wreszcie ginie.

Jakiż potem smutek, żal, płacz i lament, bo krowa była żywicielką całej rodziny, zarabiała na odzież, na podatek i t. d. — koń zarabiał przy furmance, za trzodę miały być także pieniądze, ale w razie wypadku kończą się te pożytki, ledwie że potem żyd odważy się kupić za bezcen bydlę i nocą wywieść do miasteczka.

Co do trzody są pewne zwroty, jeżeli sam właściciel zamelduje o chorobie — ale za bydło rogate nie ma nic; starają się tylko włościanie, aby mięso ze zdrowych sztuk wolno było rozsprzedać bez żadnej trudności, jeżeli gospodarza nieszczęście spotkało, lecz nie mogą się wystarać.

Wielkim ratunkiem dla rolników będzie u nas, jeżeli wprowadzi kto asekuracyą bydła. A taka asekuracya opłaci się tak Towarzystwu, jakoteż właścicielowi żywego inwentarza. Według spisu z r. 1890 było w Galicyi 765.570 koni, 2,448.006 bydła rogatego, 630.994 owiec, 21.095 kóz i 784.500 świń. Gdyby więc wszyscy przystąpili do asekuracyi, wypadłoby bardzo mało płacić od sztuki, a przecież uzbierałoby się dużo pieniędzy, a z tych Towarzystwo mogłoby zwracać wartość bydląt w razie jakiegoś nieszczęścia.

Takie Towarzystwo ma powstać we Lwowie za staraniem Domu dla Ziemian. Pragniemy, życzymy i usługi nasze chcemy ofiarować, aby ubezpieczenie bydła jak najprędzej weszło w życie i tej obywatelskiej pracy zasyłamy radosne: Szczęść Boże!

Rolnik.

Co słychać w świecie.

Z Wiednia. Pożegnał prezydent ministrów p. Körber posłów naszych we Wiedniu w sobotę dnia 17 marca b. r. I posłowie rozjechali się w różne strony, życząc sobie wesołych świąt. Jedni zaraz wybierają się na Sejm do Lwowa, drudzy odpoczną na łonie rodziny i czekać będą, rychło rząd znowu ich powoła do Wiednia.

Cóż jednak uradzili tam we Wiedniu przez te kilka tygodni? Bardzo mało, bo zawsze spór o język czeski i niemiecki staje najlepszym zamiarom rządu i posłów na przeszkodzie. Przedewszystkiem uchwalili posłowie **pobór rekruta**, aby państwo nie straciło nic na sile i powadze u ościennych mocarstw — **wybrali też członków delegacyi dla radzenia nad wspólnemi potrzebami Austryi i Węgier**. Ze spraw społecznych **zajmowali się posłowie strejkiem robotników-węglarzy.** Strejk ten trwał 10 tygodni, brało w nim udział 70 tysięcy robotników, którzy w czasie tego bezrobocia ponieśli straty około 6 milionów złr., bo nie mieli żadnego zarobku, a tylko czekali na to, co im Daszyński obiecywał. Tymczasem radziła we Wiedniu komisya złożona z różnych posłów, aż wreszcie powzięła uchwałę, iżby robotnikom zniżyć czas pracy dziennej na 9 godzin, ale to zniżenie szychty dziennej ma wejść dopiero w życie po Nowym Roku — a może nawet później, na żądanie zaś robotników może pozostać dalej tak samo jak jest i nam się zdaje, że robotnicy woleć będą więcej zarobić niż mniej (bo tam pracują na akord) — i tu dopiero okaże się, jak socyaliści wykierowali biednych robotników, i gdyby robotnicy choć troszkę się byli zastanowili, z kim trzymają socyaliści i dlaczego ich wstrzymują od pracy, mogliby byli sami na drodze polubownej korzystniejsze wytargować warunki tak co do płacy jak i co do czasu pracy. Pozostało bowiem wszystko tak samo jak przedtem było, prócz obietnicy sądów polubownych i pozostawienia robotnikom wolności, czy będą chcieć więcej czy mniej zarobić. Ależ to samo można było uzyskać nie tracąc 12 milionów koron zarobku.

Strejk ten odczuwa już społeczeństwo, albowiem raptem podrożały wszystkie wyroby fabryczne i jeżeli dotąd narzekaliśmy na ciężkie czasy, to teraz tem bardziej bieda da się nam we znaki. Sami nawet robotnicy odczują to samo, bo i oni z grosza żyją, a więc straciwszy 12 milionów koron, muszą jeszcze drożej płacić za wszystko, co potrzebne do utrzymania życia. Tak wyrychtowali nas i robotników socyaliści, żydom zaś i Niemcom przyspożyli zarobku, w których ręku są wszystkie fabryki.

Sejm galicyjski zbiera się 26 marca we Lwowie.

Ministrowie nie odpowiadają na interpelacye. Ileż to wrzawy narobili posłowie w gazetach i na zgromadzeniach, gdy się chwalili i chwalić się kazali z powodu wniesionych interpelacyj. Czytelnicy wziąwszy do ręki gazetę, mówili: patrzcie, tylko ludowcy coś robią, tylko stojałowszczyki mają odwagę, wszyscy inni milczą i boją się odezwać — różne szkalowanie zwracało się potem w stronę Koła polskiego. Ale my znamy przysłowie: nie mów hop, aż przeskoczysz. Trzeba było poczekać, co też rząd na to odpowie, o co go interpelowaliście i wtedy dopiero mogliście się chwalić i żądać dla siebie uznania i wdzięczności. A teraz sami zastanówcie się, co jest z waszych interpelacyj? Krzyku i hałasu dużo, a z tego wszystkiego nic, bo rząd nie raczył nawet odpowiedzieć. Pewnie, że takie postępowanie rządu względem ludzi dojrzałych, jest lekceważeniem posłów, zwłaszcza, gdy interpelacya wychodzi od ludzi zajmujących wybitne stanowiska, nie krzykaczy i awanturników Takie lekceważenie sobie posłów wywołali posłowie krzykacze — bo pierwsze rozbili się na małe grupy po trzech i po czterech posłów i stracili wszelkie znaczenie — drugie interpelują o rzeczy błache, lub niedorzeczne, trzecie wpadają w sprzeczność ze sobą, okazują, że nie mają pewnych i stałych zasad.

By rząd poważał posłów, potrzeba, aby tworzyli wszyscy jedno Koło, powtóre, aby wiedzieli kiedy powiedzieć, — potrzecie, aby wszyscy z naszego kraju trzymali się pewnych zasad, jak np. centrum w parlamencie niemieckim trzyma się zasad religii katolickiej. Rząd widząc jednomyślność, musiałby się z nią liczyć, a gdy jest chwiejność, to sobie lekceważy i nawet hr. Stanisławowi Tarnowskiemu w Izbie Panów nie odpowiedział na interpelacyą w sprawie nadużycia władz co do poszukiwania Aratenówny. Dbajmy sami o naszą powagę, nie uganiajmy się za pochwałami, a i rząd będzie nas poważał.

Z Afryki. Od chwili objęcia naczelnego dowództwa w Afryce południowej przez angielskiego marszałka Robertsa, szczęście wojenne przechyliło się na stronę Anglii. Roberts oswobodził Kimberley, wziął Croniego i oddział 4000 Burów do niewoli, zajął Bloemenfontein stolicę Oranii — inne zaś wojska angielskie wyparły Burów z pod Ladysmith i uwolniły jenerała Withego z jego armią, która żywiła się już tylko resztkami końskiego mięsa. Na południu Burowie sami ustąpili z kolonii Przylądka i koncentrują się, aby wspólnemi siłami powstrzymywać Anglików

w pochodzie do Pretoryi. Tymczasem Krüger i Stein nawiązali rokowania pokojowe i mocarstwa europejskie i amerykańskie Stany Zjednoczone prosili o pośrednictwo. Anglia nie chce słyszeć o pokoju, a mocarstwom dała do poznania, że nie przyjmuje pośrednictwa.

Kto sieje wiatr zbiera burzę.

Bieda a często nędza tak materyalna jak i moralna między klasą robotniczą sprawia, że przy braku zdrowego rozumu, rzucają się ci ludzie w objęcia niepowołanych niby opiekunów swoich, a właściwie wrogów płatnych przez zgraję żydowską. Liczne strejki jakie wywołują ci najemnicy żydów bogatych, przynoszą w skutkach zamiast poprawy bytu, tylko większą biedę nietylko robotnikom, ale i całemu społeczeństwu. Nawoływania ludzi prawdziwie dbających o klasę robotniczą, ludzi bezinteresownie się poświęcających dla cierpiącej braci, ludzi chcących pomagać bliźnim rozumnie i uczciwie, nawoływania takie nie odnosiły należytego skutku. Obałamucony robotnik wolał wierzyć pierwszemu lepszemu łapserdakowi niemającemu nic do stracenia, a obiecującemu złote góry i raj na ziemi — niż ludziom prawdziwie życzliwym. Na Szląsku, Morawach i po części w Czechach rozniecono wielki strejk górniczy, w którym wzięło udział, jak to donosiliśmy, kilkadziesiąt tysięcy robotników. Biedni ci ludzie, pozbawieni zarobku, a oczekujący pomocy od żydosocyałów, haniebnie przez nich oszukani zostali. — Pasożyty owe namawiali robotników do wytrwania, poddając niemożliwe warunki pracodawcom. Węgiel drożał coraz więcej, fabryki inne dające zatrudnienie tysiącom robotników z braku węgla stanąć musiały i znowu owe tysiące robotników bez chleba i zajęcia padły ofiarą agitatorów.

Rząd pragnął sprawę załatwić pokojowo, przez pośrednictwo z pracodawcami, ale panowie pejsaci i nie pejsaci prowodyrzy nie dopuścili do porozumienia, bo przecież wygodnie im było żyć parę tygodni za cudze pieniądze i mówki wygłaszać.

Wszystko atoli ma swój koniec. Strejk lekkomyślnie zaczęty, musiał zakończyć się, bo jeść trzeba, a słówka ochrypłe i szwargot żydowski głodnego nie nakarmią. Owocem tego strejku nędza i zubożenie, a zatem wszystkiem idące w parze rozgoryczenie i zemsta na sprawców klęski.

Cóż więc dziwnego że ten sam lud tak potulnie słuchający swych przywódców w czasie strejku, rozgoryczony plunął w garść i nuże okładać żydziaka agitatora K a r p e l e s a i jego towarzysza M e r t ę. Gdyby nie policya, na którą tak ujadają towarzysze, byliby owi pankowie chyba z życiem nie uszli. — Reszta jenerałów z pod czerwonego sztandaru widząc co się święci, okazali swój charakter w nogach i jak spłoszone od żeru szczury, pokryli się w dziury i ani im się śni prędko wyjść na światło dzienne. Gdzie borba, ambaras, tam i ks. Stojałowski chce być przy boku swoich starych przyjaciół, nie zważając na swą suknię duchowną, którą jakby się uwziął szargać i plamić. Zjawił się więc na zgromadzeniu w Morawskiej Ostrawie, chcąc prawić swe oklepane mądrości. Rozgoryczony tłum, porwał ojca duchownego za kołnierz i jak ostatniego szubrawca za drzwi wyrzucił.

Czy to nie wstyd księże redaktorze? Czy godzi się tak poniewierać stanem duchownym? Czy to nie dowód dosadny, że nawet najgłupszy człowiek pozna się na okpiwaniu, a nauczony przez ciebie szkalować duchowieństwo, stwierdzi wkońcu na grzbiecie mistrza, że zła ta nauka w las nie poszła.

Zle zawsze wyjdzie na jaw. Ludzie bez Pana Boga, czci i wiary, nie mogą przynieść szczęścia drugim, bo go sami nie mają. Co zaś wartają ci świat przeobrażający krzykacze, to stwierdzili sami robotnicy strejkujący. Na jednem ze zgromadzeń opowiadali robotnicy *o liście, który im przejąć się udało, pisanym przez pewnego „barona węglowego“ do pobitego żyda Karpelesa, w którym ów bogacz przysłał Karpelesowi 20.000 koron za to, co dla niego zrobił.*

Czy potrzeba jeszcze dowodzić, czem dla biednego ludu są pijawki żydowsko socyalistyczne? Zaś parobkom bogatych żydów, tym kusicielom ludu niech wreszcie utkwi w pamięci, że *kto sieje wiatr*, wcześniej czy później zawsze *zbierze burzę.*

Jak Amerykanie umią łgarstwem zachwalać swój towar, świadczy niniejsze zabawne opowiadanie umieszczone w gazetce p. t. Przewodnik katolicki.

Amerykanie, jak wiadomo, przewyższają świat cały swojemi bogactwami, rękodziełami, wynalazkami, handlem i wogóle potęgą, równie jak zbytkami, dziwactwami, łgarstwami, reklamą i tak zwanym spleenem amerykańskim. Pewien Amerykanin podał np. niedawno do jednego z najznaczniejszych dzienników nowojorskich humorystyczne o swej osobie opowiadanie, którego sens na końcu wychodzi na jaw.

— Ja, Jonathan Boyleen, — mówi — fabrykant parasoli, liczę lat 40, mam żonę i dzieci, zdrów jestem na ciele i na duszy. Na niczem mi, Bogu dzięki, nie zbywa, jem z dobrym apetytem. Rano przy herbacie, skoro pogoda służy i ja kłopotu nie mam na głowie, ze szynki rocznego warchlaka lub kulki skopowej nie zostawiam nic, oprócz kości. Na obiad pieczeń smakuje mi wybornie; parę tuzinów kurcząt, lub kilkorgo tucznych indyków, gęsi, pingwinów, albo coś w tym rodzaju, zakropiwszy wiaderkiem porteru, czuję się zadowolonym i swobodnym. Kurząc tedy moją fajeczkę ze smakiem, trawię to wszystko z miłem uczuciem człowieka, który swe powinności tu na tej ziemi spełnia regularnie i sumiennie. Na wieczerzę jadam tylko lekkie rzeczy jak wirgińskie kiełbaski, najwyżej kobiałkę, faseczkę bigosu lub z kopę jaj nie za nadto twardych. Oblawszy tę przekąskę kilku szklankami herbaty z rumem, śpię jak nowo

narodzone dziecię! Że mi apetyt dopisuje i troska duszy nie tłoczy, więc też skarżyć się nie mogę, jakobym wątły był na ciele. Przeciwnie żywot mój codziennie prawie przybiera co do objętości, ku niemałemu z mej strony zadowoleniu. Nogi moje pałąkowate noszą dziś korpus trzycetnarowy, okrągły i pulchny, bo dobrze karmiony. A jednak mimo tak regularnego życia i troskliwie zachowanej dyety, rzecz niepojęta, pewnej nocy spać nie mogłem. W żywocie, czuję, niby mała rewolucya, w piersiach ciśnie, szumi w głowie. Chcę rano wstać, ba, udźwignąć się nie mogę, czuję dotkliwe boleści w żołądku; tamże jakby mi kto grajcarek wsadził i świdruje. Tam do kata, myślę sobie, źle Tu bez lekarza się nie obejdzie! Nie lubię wprawdzie ludzi tego rodzaju, gdyż naród to gadatliwy, wścibski, wszędzie nos wetknie, zajrzy, gdzie nie potrzeba, obmaca palcami, czego macać się nie godzi! Zdrowego człowieka taki Eskulap do choroby przyprowadzi, a z chorego ducha wydmuchnie. Mój przyjaciel atoli Imci pan Sack Smyth, po któregom posłał, o tyle jest znośniejszy, że choremu przynajmniej strachu nie napędza i nie torturuje go wstrętnemi pytaniami; najwyżej śmierć ułatwia swoim pacyentom. Zresztą człeczyna sobie niczego, mały, okrągły jak kula, z okularami na nosie, z parasolem pod pachą.

— Hm, źle! — rzecze mój doktor, obmacawszy mi żywot. — Zwyczajnemi środkami tej choroby z ciała wypędzić nie można, gdyż tu tkwi coś niezwykłego w żołądku, czuję przez skórę... zda się, kostka stanęła na poprzek.

— Być może, — odrzeknę, zakurzywszy fajeczkę — jadłem wczora na wieczerzę pieczeń z całego grzbietu kenguru, przysłanego mi przez przyjaciela z Australii. A że to strawa moja ulubiona i zabrałem się do niej łapczywie, więc łatwo zdarzyć się mogło... niby przynajmniej nie było nadzwyczajnego, gdyby wraz z mięsem zabłąkała się i kostka do żołądka.

— Niezawodnie tak było, — odrzecze doktór zasmucony, — tylko że droga tam dotąd łatwa i wygodna, napowrót zaś z rozmaitemi połączona przeszkodami... No, nie ma co obwijać w bawełnę, — mówił począc się ze strachu — żywot panu muszę otworzyć, kość wyjąć i brzuch zaszyć.

— Tylko tyle? — odrzeknę uradowany. — O mój miły mości panie Smyth, z niebaś ty człek. Miłuję cię jak nikogo w świecie, przystąp jeno, a żwawo do tak miłej operacyjki!

Mój doktor wejrzał na mnie zdziwiony tą zimną krwią moją, a gdy zaginał rękawy i wydobywał instrumenta, które go nigdy nie odstępowały, widziałem, jak mu się ręce trzęsły, a nawet przybladł nieco na twarzy. By mu więc niepokój wybić z głowy i w dobry humor wprowadzić, jąłem mu kurzyć fajkę, opowiadać różne krotochwile i wesołe facecyjki i takem go rozruchał, że prując mi brzuch i przewracając jelita, sam mi dogadywał i śmiał się wesoło. Operacya udała się wyśmienicie; niepotrzebna kość została oddalona, a ja odrazu czułem się zdrów jak ryba! Wstałem nawet i wyprowadzam mojego dobrodzieja, jakem go nazywał przez wdzięczność, za drzwi na dwór. Deszcz właśnie kropił, więc mój doktor się odzywa:

— Jak to dobrze, że parasol ze sobą zabieram i nigdy go z ręki nie wypuszczam. Dziwna jednak rzecz, jak się to stało, żem go dziś, panie Boyleen u ciebie zostawił.

Więc się wracamy, szukamy wszędzie... nie ma!

— Tam do kata! — zawoła nagle, puknąwszy się dłonią w czoło eskulap; — być może, niezawodnie nawet, mój deszczochron zaszyłem ci w brzuch, mości panie Boyleen, trzymałem go pod pachą podczas operacyi!

— Twój parasol w moim brzuchu! — odrzeknę zdziwiony, — ale panie Smyth, cóż też wygadujesz? Nie miałżebyś innego mieć miejsca do takich przedmiotów... lecz wierzyć mi się nie chce, to niepodobna!

— Ja twierdzę na pewno, — odrzecze gość, — załóżmy się! Przyjmujesz pan zakład, powiedzmy np. 100 dolarów!

— Pal cię sęk! — odrzeknę po krótkim namyśle, — przyjmuję, ale pod tym warunkiem, że za drugą operacyą — drugi raz mnie przecie pruć musisz — nic już nie zapłacę.

— Zgoda! — zawołał doktór, podawszy mi prawicę i natychmiast zabiera się do dzieła, rozpruwa, co przed chwilą był zeszył i któż opisze moje zdziwienie! z brzucha wyciąga mi parasol. Zaszył mi potem napowrót żywot; zapłaciłem mu za jednę operacyę 100 dolarów i za zakład drugie 100 i cała historya się skończyła. — Operacye mi nie zaszkodziły, gdyż nie chorowałem wcale i do dziś czuję się zdrowym. Co zaś rzecz najdziwniejsza i łaskawych czytelników najwięcej zainteresuje, wydobyty z brzucha parasol znajdował się w zupełnie dobrym stanie nienaruszony, bez skazy. Parasol taki nieprzemakalny, nie do zniszczenia wyrabia się z podwójnego kręconego jedwabiu sajgunskiego, kij u niego z bambusu, gałka z rogu bawolego, fiszbin z wielorybów hudsońskich. Parasola tego można użyć jako balonu, puszczając się w nadpowietrzną podróż do Europy, by zobaczyć, jak Francuzi krzątają się koło swej wystawy; na bałwanach morskich śmiały podróżnik utrzymać się może, trzymając ten parasol rozpięty nad głową i dotrzeć w ten sposób do Transwalu, do teatru wojny.

Nawet gdy się kto na pociąg spóźnia, przy pomyślnym wietrze z pomocą tego parasola pociąg wyścignie i nie spóźni się na kolej! Takie doskonałe parasole wyrabia jedynie firma Jonathan Boyleen, New-York, ulica X. X.

Lepsze wieści z okolic Tarnowa.

Że źle jest u nas, tego nie potrzebujemy dowodzić, bo na to powszechna jest zgoda u wszystkich

stronnictw w naszym kraju. Nie wszyscy atoli jednako krzyczą i dają znać o tem, co ich boli. Są tacy, co z świętą rezygnacyą niosą krzyż, który jest ich udziałem, a przy tej rezygnacyi nie zdradzają nawet tego, że ten krzyż bardzo ciężki. Więc innym, którzy może mniej mają do cierpienia, zdaje się, że im tylko jest źle, tamtym zaś dobrze. Tak myślą socyaliści i ludowcy, toż samo wmawia w ludzi ks. Stojałowski. Zupełną słuszność przyznajemy, że jest źle, ale musimy przypomnieć, że nietylko im jest źle, źle jest wszystkim, bo taki jest los nasz na tym świecie, aby tu cierpieć i boleć i zasługi zbierać.

Co jednak przykro? to, że te najgłośniejsze stronnictwa ludowe, mimo całej świadomości ciężkiej doli nie chcą iść drogą, która do ulgi jedynie doprowadzić może. Socyalizm istnieje już kupę lat, a pokażcie mi choć jednego człowieka, któryby powiedział, że w socyalnej demokracyi znalazł szczęście; owszem każdy, który w jej ramiona się rzucił, widzi coraz większą próżnię w sobie i koło siebie i widzi, że tej próżni niczem nie potrafi zapełnić, bo dążenia socyalistyczne niemożliwe są do urzeczywistnienia. Socyaliście zdaje się, że wszyscy ludzie są wyzyskiwacze, on jeden jest tylko najnieszczęśliwszym — tak też zawsze mniemać będą socyaliści i właśnie oni są zabójcami własnego szczęścia.

Ludowcy i Stojałowszczyki mniemali, że zdolają ludzi uszczęśliwić, gdy im każą takie rzeczy czytać, na które zdrowy rozum człowieka oburzać się powinien. I oto już drukują mimo zakazu Kościoła swoje piśmidła przeszło 5 lat, a więc niech pokażą choć jednego swojego zwolennika, którego zdołali uszczęśliwić. Zwolennik ten za każdym razem gdy takie piśmidło do ręki dostaje, gwałt sobie musi zadawać, walkę staczać ze swojem sumieniem, ze swoją wiarą, musi wyrzekać się posłuszeństwa i wyrywać ze swego serca wszelkie szlachetne uczucia. Jaki tam ból, to tylko ten może mieć pojęcie, który tego doświadczył. Zawsze mieć na pamięci zakaz Kościoła i zawsze się zmuszać do jego przekraczania, zawsze czuć wyrzuty sumienia i zawsze zmuszać je do milczenia, to przecież nikomu szczęścia przynieść nie może.

Czuje to dobrze nasz lud polski, a więc mimo szalonej agitacyi, mimo nawoływania na różnych zgromadzeniach, mimo zachwalania przez różnych naganiaczy, mimo schlebiania i obietnic, przecież nie przeszedł jeszcze tam, gdzie go ludowcy i stojałowszczyki chcą zaprowadzić swemi piśmidłami, lud szuka szczęścia w Kościele. Praca żydowskich i socyalistycznych usłużników podobną jest tylko do burzy. Jak burza przelatuje ponad wioski i powiaty z grzmotem, wichrem i błyskawicami, ugina słabe drzewiny, w wielkich liście obrywa, ulewnym deszczem i gradem przysklepia do ziemi małe roślinki, przymula je, niejedne niszczy — drogi i pola czyni niemożliwem do przebycia z powodu błota i nagromadzonej wody; tak samo agitacye socyalistów, ludowców, stojałowszczyków sprawują wielkie spustoszenie w samym ludzie, niejednego zbałamucą, wywrócą, ale ogółowi nie potrafią zanadto zaszkodzić, ogół po tej zawierusze znów wraca do równowagi, a widząc, że tylko Kościół jest jego matką, opiekunką, piastunką, nauczycielką, lekarką, do Kościoła się ucieka, skoro burza ustała szaleć. Jestto całkiem naturalne. Serce człowieka nie może być długo siedliskiem namiętności, bo stworzone jest do miłości Boga i bliźniego, nie może długo podlegać nieludzkiem knowaniom, bo ono w sobie ma zarodek szlachetności, wcześniej lub później odkryje gorycz, którą go poili zwodziciele a zapragnie tej słodkości i orzeźwienia, które daje tylko Kościół katolicki.

I to całkiem naturalne następstwo spostrzegamy po wszystkich burzach społecznych. Łzami pokuty gładzi wtedy jeden swoje winy, kto dał się zbałamucić, inny całkiem spokojnie powraca do zakonu miłości, nie da sobie potem ani wspomnieć o żadnych socyalistach, ludowcach, stojałowszczykach, wstyd go nawet, że kiedykolwiek im wierzył a korzystając z doświadczenia, drugich potem ostrzega, napomina, przekonuje, aby nie dali się zwodzić.

Ale komuż przypisać, że lud nasz mimo takiej zajadłości swych zwodzicieli tęskni do Kościoła, z Kościołem się jedna, w Kościele szuka szczęścia i w Kościele je znajduje? Czy to może ci zwodziciele nad tem pracują? Jeżeli o nich mowa, to, na co obłuda i złość ich zdobyć się mogła, wszystkiego próbowali, by zniszczyć przywiązanie do Kościoła? Naprzeciw nich w zwartym szeregu stanęło duchowieństwo parafialne i klasztorne, nie ustaje w pracy, miłością płaci za prześladowanie i oto otwierają się oczy nieszczęśliwych, poznają przy kim jest prawda i sprawiedliwość. Tak zawsze zwyciężał Kościół, tak zwycięża teraz, tak zawsze zwyciężać będzie. Takie zwycięstwo widzimy po miastach i po wsiach i niedaleką jest chwila, że robotnicy po miastach i lud wiejski złączy się w Kościele w jedno stronnictwo katolicko-narodowe. Potrzeba nam tylko nie ustawać w pracy i w miłości i w poświęceniu. Sposobności do pracy i do poświęcenia mamy bardzo wiele, bo nędzy jest dużo tak w mieście jak i na wsi. Miłość ma to do siebie, iż wszystko do siebie przyciąga; jak roślinki po burzy zwracają się do słońca, które je oświeca, grzeje i ożywia, tak i ludzie tam, gdzie widzą miłość. A gdy taką miłość spostrzegamy w duchowieństwie, tedy z ufnością spoglądać możemy w przyszłość, że ono obroni lud polski od nieszczęścia. Takie zaś radosne wieści dochodzą nas z okolic Tarnowa, gdzie ks. dr. Żyguliński rozwija błogą działalność. Cześć mu i szczęść Boże!

Krakowiak.

PRZYGODA W RADOMIU.

drugie opowiadanie Imć Pana Wita Narwoja, rotmistrza kawaleryi narodowej. Roku Pańskiego 1762.

Spisał Władysław Łoziński.

Ledwie tych słów domówił, gdy nagle wpadł do winiarni człeczek małego wzrostu, mizerny, z dużą, buńczucznie w górę zadartą czupryną ryżej barwy

z nosem dużym i oparzystym. Ubrany był w żółty wytarty kontusik a przepasał się okrutną szablą, niemal tak szeroką i dużą jak on sam. Na śmiech się zbierało patrząc na tego człowieczynę, choć znowu z drugiej strony coś odpychało od tej figurki, bo migotała oczyma tak chytrze i zdradziecko, a uśmiechała się tak nikczemnie, że mimowoli człek sobie przypominał ową łacińską przestrogę: *Hic niger est, hunc te caveto!* (Ten czarny jest, tego się strzeż!

Wleciał jak wrzeciono i zasapany a z straszliwym brzękiem szabliska i zaraz przy drzwiach począł strzelać dokoła oczyma, wołając przytem z całego gardła:

— Mościpanowie oficerowie! Rotmajster Borawka, agent militarny wszelakich najjaśniejszych dworów europejskich sumituje się Waszmościom wszystkim i ofiaruje usługi swoje. Czołem Mości panowie, czołem! Mam różne rangi, powierzone mi na przedaż w zaufaniu mam spis wakansów najlepszych, pośredniczę ułatwiam zmianę regimentu za regiment. Wszystko to czynię z honorowej gotowości, po uczciwem koleżeństwie... Mam także śliczne konie po niesłychanie taniej cenie, wyraźnie jakby kradzione. Mości panowie oficerowie! Przypominam się, Mościpanowie, i proszę o względy, nikt tak nie usłuży jak rotmajster Borawka. Rząd suty, srebrny hussarski! Kto kupi rząd srebrny? Dam za bezcen!

Tak pytlował ustawicznie chodząc między stoły i kłaniając się na wszystkie strony. Deibel wskazał mi nań i rzekł:

— Oto masz Borawkę, pomów z nim, ale radzę raz jeszcze, ostrożnie. My z Wadelsztedem wyjść musimy na chwilę, ty zostań tu i czekaj nas, nie kończąc interesu.

Gdy się tak z Deiblem żegnam, on bierze mnie na stronę i mówi:

— Mój bracie drogi, muszę cię przestrzedz. Mówiłeś mi, żeś Prusakom uciekł po prostu, więc czemu nosisz twój mundur. Wiedzżc Waszmość, że cię tu agenci i werbownicy pruscy, co się często po całym kraju snują, kiedyś porwać gotowi.

— Co porwać mnie z własnego wolnego kraju? rzekłem — a toć by to już sromota był i gwałt niesłychany... Radbym ja tu widzieć tego, coby mnie tu napastować się ośmielił.

— Nie mów Waćpan wiele — rzecze na to Deibel — bośmy już na takie rzeczy sami patrzali. Żeby to gwałt był, to prawda, ale tu w Polsce rząd słaby a bezpieczeństwo publiczne nie wielkie. Czy to ty niewiesz, że kilka lat temu barona Trencka, no kiedy zbiegł na ziemię polską, trzykroć wysłanniki pruskie chwytały; dwa razy z ciężką biedą im uszedł, a za trzecim razem w Gdańsku dostał się im w ręce i teraz mizernie gnije w lochach Magdeburskich.

Zrobiły te słowa na mnie wrażenie, i skonfundowały po trosze, bo istotnie tak się rzecz miała, mnie to wiadomo było. Tego Trencka sam raz w Poczdamie widziałem, śliczny to był młodziutki oficer. Padło nań podejrzenie, że się znosi z owym drugim Trenckiem, swym stryjaszkiem, co to nam tak srodze podczas ostatniej wojny dokuczał usarskiemi pandurami. Zamknięto go do twierdzy Glatz, a on umknąwszy stąd, długi czas w Polsce i w Rosyi przebywał. aż go Prusacy gwałt popełniając na polskiem terrytoryum, w Gdańsku porwali.

Rychło wszakże złą myśl wybiłem sobie z głowy, bom już tego ani chciał przypuszczać, aby na mojej skórze tyle zależało Prusakom, iżby mnie aż tu w dalekiej Polsce łowić mieli. Zaśmiałem się wtedy i ścisnąwszy dłoń Deibla rzekłem:

— Owa! Niestraszny mi tu już ani twój obersztér Krygeritz, ani nawet sam król Fryc, a tych wysłanników pruskich, coby mnie aż tu szukać mieli, roznieślibyśmy tu w Radomiu na szablach. Król Fryc ma długie ręce, to prawda, ale mu aż tu do mnie palców nie starczy!

Odwróciłem się teraz do owego rotmajstra Borawki i chciałem zacząć o interesie — aż tu nagle z okrutnym krzykiem, z junackim śmiechem i marsowem brzękiem wpadło do izby trzech towarzyszy chorągwi pancernej, przy szablach. Wszyscy trzej byli to ludzie nie młodzi, ale wpadli z junacka i z krzykiem, bo już snać dobrze czupryny podegrzali węgrzynem. Mój Borawko ledwie ich ujrzał, nuż do nich zaraz w ukłony i zalecanki, na nikogo już więcej nie patrząc — tak, że chcąc nie chcąc musiałem zaczekać i usiadłem sobie w kącie, dopóki ten najazd pancerny nie wyleci jako przyleciał.

W winiarni nie było już nikogo, prócz towarzyszy, Borawki i dwóch jeszcze osób. Z tych dwóch osób jeden był jakiś młody oficer w mundurze regimentu dragońskiego pod komendą IMP. generała Wielopolskiego, młodzieniec dziwnej urody, blady, czarnowłosy, chłopię za oczy pociągające. Siedział zasępiony czegoś bardzo, głowę na ręku oparł i tak w ciężkim frasunku zdawał się być zatopionym. Drugi, co siedział w przeciwnym odemnie kącie, był to staruszek już bardzo zgrzybiały, w peruce dużej, zaschły, zawiędły, i bardzo niepokaźnie a po niemiecku ubrany.

Kiedy ci trzej towarzysze tak wpadli do winiarni, poczęli zaraz krzyczeć, aż szyby brzęczały:

— Mursz, hej sam tu Mursz! Dawaj wina szczecińskiego, a jak nie masz to muszkatela, ale żwawo, bo cię przepędzę!

Mursz się zwinął na piętach a za chwilę stanął na stole cały szereg butelek. Jeden z towarzyszy, chłop sążnisty, łysy, z karmazynowym nosem i wąsem, gdyby wiecha, z szramą na łbie, jakby go pługiem przeorano, rozglądnął się po izbie a ujrzawszy tego staruszka, stuknął butelką i zawołał:

— Sam tu Niemcze! Na masz, wypij, gębę otrzyj, podziękuj i ruszaj sobie, bo tu panowie piją!...

Staruszek, który sobie siedział spokojnie, Bogu duszę winien, wstrząsł się cały i poczerwieniał, i gniewnie na pijanego spojrzał; potem zaś, jakby się inaczej namyślił, udał, że niby nie słyszy i przez okno na ulicę wyglądać począł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Poświęcenie i otwarcie domu dla rękodzielników i robotników katolickich przy ulicy św. Tomasza odbyło się w niedzielę dnia 18 b. m. przed południem wobec licznych delegatów cechów, stowarzyszeń i osób zaproszonych. O godzinie wpół do 9 rano wyruszył orszak do kościoła św. Krzyża. W orszaku tym na czele szedł oddział straży pożarnej, a następnie 30 sztandarów stowarzyszeń i cechów z berłami.

O godzinie 9 przybył Najprzewielebniejszy Książę Biskup ks. Puzyna, który wszedł do świątyni, napełnionej delegacyami i publicznością. Podczas Mszy św., odprawionej przez ks. Biskupa, chór rękodzielników odśpiewał kilka pięknych pieśni.

Po nabożeństwie orszak w tym samym porządku i tą samą drogą z pieśnią „Serdeczna Matko“ udał się do domu, gdzie w ozdobionej sali, po obu stronach tronu dla Księcia Biskupa, zajęły miejsca sztandary i delegacye, a wśród nich komitet wykładowy młodzieży akademickiej.

Przybywającego księcia Biskupa powitała orkiestra marszem — a następnie chór odśpiewał pieśń. Po śpiewie książę Biskup w stroju pontyfikalnym dokonał poświęcenia sali, poczem przemówił do zebranych. Jako powołany do szerzenia chwały Bożej, wzywał do wierności w wierze, przyczem wspominał o dawnych bractwach rękodzielniczych, w których przemysł kwitnął, bo bractwa te stały twardo przy świętej wierze. Za wzór do pracy wskazał książę Biskup św. Józefa, który pracował dla św. Rodziny.

Wobec podkopywania przez burzliwe żywioły podstaw religijnych, mówił dalej Arcypasterz, **trzeba ścisłej katolickiej organizacyi, któraby obejmowała wszystkie stany, aby stawić czoło przewrotowi.**

Do tego trzeba wspólnego dachu. Dzięki proboszczowi parafii św. Anny księdzu Prałatowi Bukowskiemu, stanął ten gmach. Ojciec Święty, wynagradzając jego prace, odznaczył go dostojeństwy, a my powiedzmy mu z głębi serca: Bóg zapłać! Wzywając do zgody, łączności i przyjaźni, zakończył Arcypasterz słowami: Szczęść Boże!

Następnie ciepło a serdecznie i z rozrzewnieniem przemówił przewodniczący Przyjaźni krakowskiej p. F. Jarczyk — poczem pan Gregorczyk z zapałem wygłosił wiersz okolicznościowy.

Po przemówieniu p. Stróżyńskiego, jako prezesa Związku okręgowego stowarzyszeń katolicko-narodowych, uroczystość zakończyła się błogosławieństwem, udzielonem wiernym przez Arcypasterza. Wszystkie przemówienia przeplatały popisy chóru i orkiestry amatorskiej.

O godzinie 6 wieczorem rozpoczęła się Wieczornica z nader licznym udziałem członków i gości.

Ślub arcyksiężnej Stefanii wdowy po zmarłym następcy tronu arcyksięciu Rudolfie — z hr. Lonyay, odbył się d. 21 b. m. w Miramare.

Wspaniały dar. Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup Morawski ofiarował 800 koron na rzecz funduszu katolickiej zarejestrowanej kasy zapomogowej „Przyjaźń“ we Lwowie.

Zmiany w ordynacyi sejmowej. Cesarz potwierdził uchwalone przez Sejm galicyjski projekty ustaw w sprawie zmiany krajowej ordynacyi wyborczej z dnia 26-go lutego 1861 roku.

Uchwalona w marcu 1899 przez Sejm Galicyi 110 głosami przeciw 5 reforma wyborcza obejmuje następujące zmiany: Wprowadza do 10 istniejących, 8 biskupów i rektorów obu uniwersytetów, głosów stałych czyli wirylnych dwa nowe, mianowicie z urzędu zasiędą w Sejmie prezes polskiej akademii umiejętności w Krakowie i rektor politechniki lwowskiej. Następnie tworzy pięć nowych okręgów miejskich, z których każdy wybierać będzie jednego posła. Powiększa więc o pięciu liczbę posłów z miast i ogólną liczbę posłów. Nowe okręgi wyborcze miejskie są następujące: Po jednym pośle będą wybierały razem miasta: 1) Podgórze-Wieliczka, 2) Bochnia-Wadowice, 3) Gorlice-Jasło, 4) Sanok-Krosno i 5) Brzeżany-Złoczów. Dotychczas wyborcy z tych miast głosowali na posła do Sejmu w kuryi gmin wiejskich. Przybywa zatem 7 nowych członków Sejmu, 2 wirylistów i 5 posłów. Ogólna liczba zasiadających w Sejmie podnosi się ze 154 na 161, t. j. 12 wirylistów i 149 posłów, a to 44 wybranych przez wielką własność ziemską, 28 przez miasta, 3 przez Izby handlowe i 74 przez gminy wiejskie.

W Kościelcu przy Chrzanowie odbyła się pod przewodnictwem Ojców: Stefana Podworskiego i Henryka Lokajczyka misya od 10 do 16 marca. Do Komunii św. przystąpiło osób 2.135. Do Bractw pobożnych osób 636. Do Trzeźwości zapisało się osób 566, a 1.145 osób odnowiło śluby dawne trzeźwości. W tym czasie uwijali się socyaliści krakowscy po kopalniach w Kątach, Sierszy i Jaworzniu, namawiając górników do strejku, a górnicy tym przewodnikom przewrotu figla spłatali, bo im obiecali strejkować i poszli 12-go marca gromadami na misye do Kościelca a po misyach zaraz do roboty — był to strejk duchowny, który powinni na hańbę socyalistów wszyscy naśladować, a odechce się socyalistom werbować do strejku.

Znowu żydy za krwią chrześcijańską. Niezwykle oburzający wypadek miał miejsce w Wilnie w nocy z 15 na 16 b. m. Pomiędzy 2 i 3 godz. słyszano krzyki przeraźliwe w mieszkaniu cyrulika żyda, Blondesa. W chwilę później na ulicę wybiegła kobieta, wołając rozpaczliwie o ratunek. Stróż nocny pospieszył jej na pomoc i zdołał ją doprowadzić do mieszkania stróża z domu pobliskiego, wiedząc, iż jest krewną jego. Okazało się, że dziewczyna, Wincenta Grudzińska, ma dwie rany: na szyi i ręku.

Obaj stróże niezwłocznie udali się w towarzystwie policyi do mieszkania cyrulika Blondesa, lecz znaleźli już drzwi zamknięte, a po ich wyparciu, samego Blondesa, dopiero wstającego z łóżka. Na hałas, spowodowany wejściem policyanta i stróżów, wpadło do mieszkania kilku żydów, przyczem miała miejsce bójka, którą zaledwie zdołano uśmierzyć, a Blondesa umieścić w dorożce i odstawić do cyrkułu.

Do cyrkułu dostawiono także poranioną Wincentę Grudzińską i niezwłocznie spisano odpowiedni protokół, poczem Blondesa osadzono w więzieniu, a Grudzińską w szpitalu miejscowym.

Wincenta Grudzińska młoda, zdrowa i ładna wiejska dziewczyna, przybyła do miasta przed dziesięciu dniami i wstąpiła na służbę do Blondesa. Twierdzi, że w nocy owej, mając wiele roboty, wstała i zajęła się myciem podłogi. Wtedy weszło do pokoju dwóch żydów z zasłoniętemi twarzami i jeden z nich rzucił się ku niej z brzytwą. Odparła główne uderzenie i uległa lżejszym poranieniom. Na jej krzyk wpadło jeszcze kilku żydów do tegoż samego pokoju, poczem udało się jej uciec na ulicę. Władze śledcze i sądowe rozpoczęły niezwłocznie badanie.

W Chojnicach (Konitz) w Prusach zachodnich od niedzieli 11 b. m. zniknął ośmnastoletni uczeń gimnazyum niejaki Winter z Prechlau. We środę 14 b. m. w sadzawce miejskiej w Konitz, znajdującej się bezpośrednio tuż obok synagogi, znaleziono kadłub człowieka bez głowy, rąk i nóg, opakowany tekturą i szpagatami, a pomieszczony w starannie zaszytym worku.

Uderzało od pierwszej chwili, że kadłub ten nie zawierał ani kropli krwi; stwierdzono, że nawet najdelikatniejsze naczynia krwionośne były próżne. Wszystko wskazuje na to, że chłopiec został zarzezany na sposób, jak się rzeza bydlęta. Zastanawiającą jest także okoliczność, że wszystkie brakujące części ciała odcięte zostały według wszelkich reguł anatomii.

We czwartek zrana znaleziono prawą rękę, przerzuconą z zewnątrz poza balaski cmentarza. Mimo, iż w nocy ze środy na czwartek był bardzo silny mróz, ramię było zupełnie miękkie; wskazywało to, iż ręka została porzucona na chwilę przed jej znalezieniem. W znalezionych szczątkach rodzice Wintera, o ile to było można, rozpoznali syna.

Władze niemieckie zarządziły bezzwłocznie rewizyę w sy

nagodze i u wszystkich żydowskich rzezaków w Chojnicach, przy której to rewizyi znaleziono w bóżnicy flaszkę z krwią.

Dla rolników, młynarzy i właścicieli młynów nie obojętną jest agitacya, którą wielkie młyny, położone nad granicą rosyjską rozpoczęły celem zaprowadzenia na nowo zniesionego a wielce szkodliwego obrotu mlewa. — Pod płaszczykiem t. z. obrotu mlewa sprowadzanoby do kraju zboże rosyjskie, wymielone po wielkich młynach nadgranicznych i zasypywano nasz biedny kraj, a tymczasem większość młynów rozrzuconych po kraju traciłaby coraz bardziej. Traciliby też i rolnicy nasi; a więc baczność: Agitują młynarze nadgraniczni za wprowadzeniem t. z. „obrotu mlewa“, agitujcież i wy młynarze krajowi oraz rolnicy przeciw zaprowadzeniu owego „obrotu mlewa“. Objawia się też pożądany prąd do zakładania szkół młynarskich zawodowych.

Pożar w Kolbuszowej wybuchł dnia 22 marca. Spalił się cały rynek, gdzie ani jeden dom nie ocalał, również wiele bocznych ulic. Spłonęła także szkoła i nowa bóżnica, podczas gdy kościół i starą bóżnicę zdołano uratować. Spłonęło ogółem 160 domów, biuro ewidencyjne katastru, dom burmistrza i wikarówka. Sześćset rodzin jest bez dachu. Przyczyną pożaru była nieostrożność służącego w domu zajezdnym należącym do żyda.

Wycofywanie monet. Gazeta urzędowa wiedeńska ogłosiła przed kilku dniami, że monety srebrne po 20 i 10 centów, oraz dawniejsze po 5 centów, wycofane już z obiegu, wyjątkowo przez rok jeden przyjmowane będą, ale tylko za połowę wartości nominalnej przez wiedeńską kasę główną, przez kasy główne miast stołecznych prowincyi, jakoteż przez filialną kasę krajową w Krakowie. Dalej przyjmowane będą do dnia 30 czerwca b. r. po pełnej cenie monety miedziane po 1 i po pół centa również w tych samych kasach, zaś od 1 lipca po koniec b. r. już tylko po pół centa.

Miłość braterska. Dzienniki peszteńskie opisały następujące zdarzenie: Pewnego dnia zrana policyant zaaresztował na Theresien Ring chłopca, który okradł dziewczynce lalkę. Chłopiec przyznał się niezwłocznie do winy, a w urzędzie policyjnym wyjaśnił czyn swój w sposób wzruszający. Zeznał, że jest synem ubogiego blacharza, i że siostrzyczka jego, śmiertelnie chora, wołała ciągle w gorączce o lalkę. Rodzice nie mieli jednak na to, by dziecku lalkę kupić, brat zatem, mały Joska, postanowił zaspokoić żądanie umierającej siostrzyczki. Wyszedł tedy, a spostrzegłszy na Theresien-Ring małą dziewczynkę z lalką, zatrzymał ją, zapytał o nazwisko, o adres rodziców i zapisał to sobie na kartce; poczem wyrwał zdumionej dziewczynce lalkę i począł uciekać. Schwytano go jednak i zaaresztowano, a jednak — dodał przy zeznawaniu — nie chciał popełnić nic złego, tylko spełnić ostatnie życzenie konającej siostrzyczki, byłby następnie zwrócił lalkę właścicielce, i w tym właśnie celu zapisał sobie jej adres. Zwierzchnik biura policyjnego, wzruszony tą opowieścią, posłał do mieszkania blacharza, gdzie potwierdziły się słowa malca. Lalka była już wszakże niepotrzebna — dziewczynka umarła, gdy brat kradł dla niej upragnioną zabawkę.

Uprowadzone dzieci. W wiedeńskich pismach pojawił się w styczniu inserat, w którym pewna matka ofiarnje pieniężne wynagrodzenie za wskazanie jej śladu, gdzieby się mogła znajdować jej córeczka nieletnia, zagubiona od kilku tygodni. Inserat ten odczytała przypadkiem między innymi pani X., właścicielka sklepu kolonialnego w Pradze, a ta zatelegrafowała natychmiast pod wskazanym w anonsie adresem do Wiednia, donosząc, że zdaje się jej, iż wie, gdzie się znajduje poszukiwane dziecko. W ślad za tym telegramem przyjechała do Pragi nieszczęśliwa matka w towarzystwie agenta policyjnego i udała się do p. X., która jej wyłuszczyła swoje przypuszczenia, gdzie jej córeczka może się znajdować. Udano się tam bezzwłocznie i w istocie znaleziono dziecię. Uprowadzili je dwaj komedyanci, produkujący się w jednem z praskich „cyrków“. Prócz tej dzieciny, zastano u nich drugie dziecię, które oni rzekomo przywieźli z Belgradu a które do nich również nie pozostaje w żadnym stopniu pokrewieństwa. Akrobaci, których natychmiast aresztowano, uprowadzili dzieci najprawdopodobniej w tym celu, aby je przyuczać do niebezpiecznych sztuk gimnastycznych.

Jubileusz. Ksiądz kardynał Ledóchowski, b. arcybiskup gnieźnieńsko poznański, obchodził 15-go b. m. 25-cio letni jubileusz swego kardynalstwa. Czcigodny jubilat urodził się w Górkach w październiku roku 1822, liczy więc obecnie lat 78. W młodych latach oddany został do „Akademii kościelnej“ w Rzymie, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1845. W roku 1861 otrzymał tytuł biskupa w Tebach, i jako taki objął urząd nuncyusza apostolskiego w Brukseli, stolicy Belgii. Przedtem już brał udział w dyplomacyi stolicy apostolskiej jako audytor przy poselstwie papieskiem w Lizbonie (w Portugalii) tudzież jako delegat w Nowej Granadzie. Z Brukseli powołany został w roku 1866 na stolicę metropolitalną poznańsko gnieźnieńską, gdzie pracował z chlubą dla kościoła, aż w czasie onej smutnej pamięci walki kulturnej (pożal się Boże takiej kultury!) skazano go na 2 lata więzienia i „złożenie“ go z urzędu. Jeszcze w więzieniu 15 marca 1875 r. otrzymał męczennik za prawdziwą kulturę wiadomość o mianowaniu go kardynałem przez Ojca św. Piusa IX. Po odbyciu kaźni wyjechał ks. kardynał do Rzymu, gdzie go Głowa kościoła używała do wysokich i zaszczytnych urzędów kościelnych, aż w roku 1892 mianowany został prefektem kongregacyi do rozkrzewiania wiary (misyjnych). Jest to druga osoba po Ojcu św. i mówią też o nim jako o papieżu czerwonym (papa rosso) w przeciwieństwie do papieża białego (papa bianco), którym jest Leon XIII. Oby długo jeszcze żył i działał dla chwały Boga, kościoła i narodu!

W Nowym Sączu odbędzie się w dniu 9 kwietnia rozprawa sądowa przeciw żydom Schreiberom o nieprawne posiadanie majątku po ś. p. Franciszku i Józefie Bochyńskich zmarłych beztestamentalnie podczas epidemii w r. 1873. Żydów broni dr. Władysław Barbacki (obecny burmistrz Nowego Sącza) — pokrzywdzonych zaś dr. Jan Sterkowicz. Sądzimy, że sprawa, która się ciągnie od r. 1888, nareszcie na korzyść spadkobierców wypadnie przy dzielnej pomocy jedynego katolickiego obrońcy w Nowym Sączu dra Sterkowicza.

Kalendarz kościelny.

26. Poniedziałek. Św. Teodora biskupa. — 27. Wtorek. Św. Jana pustelnika. — 28. Środa. Św. Sykstusa pap. w. — 29. Czwartek. Św. Eustazego opata. — 30. Piątek. Św. Kwiryna i Zoz. — 31. Sobota. Św. Balbiny i Kornelii. — **1. Niedziela.** Św. Hugona biskupa. — 2. Poniedziałek. Św. Franciszka z Pauli. — 3. Wtorek Św. Bernardyna Pankrac. — 4. Środa. Św. Izydora bisk. wyzn. — 5. Czwartek. Św. Wincentego Ferer.

Odmiany księżyca.

Nów dnia 30 o godz. 10 wieczór.

Ceny targowe.

W Krakowie.

Płacą pszenicę białą 7·50—8·20 — Żyto 6·25—6·75. — Jęczmień 5·75—6·15 — Owies 5·40—5·80 **koron. — Wszystko za 50 kilo.**

Kurs pieniędzy:

Za ruble rosyjskie płacą . . . 1·27 żądają . . . 1·28
Za marki niemieckie płacą . — 58 żądają . . — 59

Kraków. Druk W. L. Anczyca i Spółki.